

### Nota edytorska do opowiadania **Ojciec** Mirosława Nahacza

Niepublikowane wcześniej opowiadanie *Ojciec* Mirosława Nahacza (urodzonego 09.09.1984 w Gorlicach, zmarłego 21.07.2007 w Warszawie) udostępnione zostało dzięki uprzejmości matki autora, pani Heleny Nahacz, której – w imieniu własnym i redakcji „Tekstualiiów” – chciałabym serdecznie podziękować. Tekst utworu podany jest w niemal niezmienionej formie – wprowadzone zostały do niego nieliczne – jedynie niezbędne – korekty interpunkcji i ortografii. Usunięto też literówki i drobne usterki składniowe, dopiski edytorskie umieszczone są w nawiasie kwadratowym. W kolejnych numerach czasopisma „Tekstualia” prezentowane będą inne, niedrukowane jeszcze, krótkie utwory prozatorskie tego autora, który – pomimo młodego wieku – zdążył wydać za życia między innymi trzy powieści zatytułowane *Osiem cztery*, *Bombel*, *Bocian i Lola* (Czarne), czwarta – *Niezwykłe przygody Roberta Robura* – ukazała się w 2009 roku nakładem wydawnictwa Prószyński i S-ka. Przygotowujemy również do druku poświęconą pisarzowi rozmowę z jego matką – Heleną Nahacz.

**Mirosław Nahacz**

### **Ojciec**

Wtedy cały świat zamknięty był w przestrzeni dostrzegalnej z dachu mojego domu, na który zabierał mnie ojciec, kiedy zimny wiatr strącał antenę telewizyjną. Moje palce drętwiały od zimna metalicznych kombinerek i ciężkiego młotka, które w każdej chwili gotów byłem podać mojemu ojcu. Staliśmy najwyżej, a mój ojciec wspinał się jeszcze na maszt anteny telewizyjnej, głośno sapiąc, wykrzykując nazwy narzędzi, jakie miałem mu podać, i różne niezrozumiałe zaklęcia. Potem stawałem na skraju włazu, wkładałem w niego głowę i zawieszałem się na granicy dwóch światów, z czego jeden był zamknięty i bezpieczny, a drugi nieodkryty i tajemniczy. Mechanizm działał prosto. Matka krzyczała: czy obraz jest wystarczający, a ja, strasznie zdenerwowany, przekazywałem to ojcu, bo gdy mimo wszystko na ekranie nic się nie pojawiało, [ojciec] potrafił wpaść w dziką furję, co na dachu naszego domu było niebezpieczne. Kiedy już udało się wszystko postawić i wycelować maszt anteny na niewidoczny nadajnik, ojciec schodził do domu, a mnie zostawiał samego na górze.

Pamiętam obraz – nieskończenie, które wpasowane jest w pewną formę, setki miejsc ograniczonych czymś, co zatrzymuje wzrok. On nigdy nie zdążył rozplynieć się w swoim ograniczeniu, w niemocy dostrzeżenia czegoś, co znajduje się zbyt daleko, bo zalesione

góry, które zdecydowanie kończyły ten świat, były zbyt wyraźne. Zawsze byłem przekonany, że poza moją wioską nic nie istnieje, że ci ludzie, którzy pojawiają się z nienacka, muszą pochodzić z tych miejsc, które widać jedynie z dachu mojego domu, a do których nigdy nie mogłem tak naprawdę dotrzeć. Ta przestrzeń, wokół której horyzont [kreślił zarysy] pofalowanego okręgu, nie była płaska, co utwierdzało mnie w przekonaniu, że idąc odpowiednio długo w jednym kierunku, wyjdę w końcu z zupełnie [innej] strony. Ten czas, w którym ojciec wywoził mnie na swoim motorze poza granicę zamkniętej linii, rozplątywał się w ograniczeniu pamięci. Miejsca i sytuacje były zbyt rozpuszczone przelany w przeszłości czasem, aby mogły znaczyć cokolwiek. Nie odróżniałem ich od snów, bo nie było w nich żadnego realnego wspomnienia, które mogłoby mi służyć za dowód prawdziwości. We wspomnieniach, które dotyczyły opuszczania mojej wsi, świat tracił jakiegokolwiek ostre krawędzie, a kolory łączyły się ze sobą tak, jakby na ten świeży obraz olejny ktoś wylał rozpuszczalnik. Rzeczy przenikały się nawzajem, a jedyna pewność tkwiła w moim ojcu, który na głowie miał pomarańczowy kask ze skórzanym paskiem zaczepionym o jego brodę. Wtulałem się w niego, dupę grzał mi bak motoru, a wszystko poza nami przestawało istnieć tak, że w końcu lecieliśmy na naszym motorze metr nad ziemią, a mój ojciec zachowywał się zupełnie spokojnie. Pęd powietrza rozpląszczał mi twarz, a drzewa robiły się gumowe. Ojciec zawoził mnie do miejsc zupełnie mi obcych, o których zapomniałem zaraz, jak tylko wracaliśmy do domu. Pamiętam z nich jedynie strumień i biały dom, w którym ojciec naprawiał prąd. A potem drogę bez asfaltu i ogromny las, [jadąc] przez [niego], zamykałem oczy, bo te wszystkie drzewa stawały się jedną migoczącą ścianą, zlewały się w brzozy i zielenie, które drażniły wzrok. Wracaliśmy zawsze w nocy, a księżyc za sprawą ojca pojawiał się na zmianę po lewej i po prawej stronie naszego motoru. Kiedy stawałem się senny, wystarczyło zapaść się w sam środek rąk i baku, w sam środek zapachu paliwa i ciała ojca, które pachniało czymś z pogranicza octu i świeżego siana. Zapach odrywał się wprost od jego osoby, zagęszczał powietrze, nigdy nie mógł wejść w reakcję ze skłębionym dymem sportów wypalanych przez lufkę. Cały pokój, w którym on spał, i wszystkie rzeczy przesiąknięte były jego osobą. A kiedy palił papierosa przez lufkę, wokół rozgrywała się bitwa zapachu z dymem, jednak te dwie zupełnie różne materie nie mogły zupełnie na siebie wpłynąć, ich inność sprawiała, że nie były w stanie nawzajem się niszczyć. Skłębiony dym odbijał się jedynie od tych miejsc, gdzie zapach ojca odkładał się przez lata. Kiedy całe pomieszczenie wypełnione było gryzącą bielą, nad łóżkiem pozostawało puste i czyste miejsce.

Większość czasu upływała [ojcu] na poszukiwaniach przejścia do innego świata, które mogło kryć się praktycznie wszędzie, nie wyłączając budynków należących do innych ludzi, co stało się jednym z podstawowych problemów. Mój ojciec o tym wiedział i jego tajemnicze prace w warsztacie, który znajdował się kilka metrów od naszego domu, miały na celu wynalezienie urządzenia, które pozwoliłoby się tam dostać. Pamiętam kilka odróżniających się od podłogi desek, które pojawiły się pewnego dnia w warsztacie po tym, jak mój ojciec wraz z najlepszym przyjacielem, który naprawiał ludziom telewizory, zamknęli się w warsztacie na trzy dni. Mama przynosiła im jedzenie,

wychodziła strasznie czymś podenerwowana, czasami nawet bliska płaczu. Kiedy po trzech napęczniałych od tajemnicy dniach i trzech strasznych, wypełnionych wiatrem i cieniami nocach, ojciec wraz z przyjacielem wyszli na powierzchnię, wyglądali na strasznie zmęczonych, ojciec ledwie dotarł do domu, mama obraziła się, a on spał, wykrzykując przez sen niezrozumiałe słowa, które brzmiały twardo, a których znaczenia mogłem się tylko domyślać, i dopiero po godzinie zapadł w twardą śpiączkę, z której nic (i nikt) nie mogło go obudzić przez dwa kolejne dni.

Do jego warsztatu nikt nie mógł wchodzić sam. Czasami mnie tam wpuszczał, ale dla zwykłych ludzi dostępna była jedynie połowa pomieszczenia, bo resztę zastaniała gruba kotara pachnąca kurzem i workami na ziemniaki. Ojciec rzadko wpuszczał światło słoneczne, a te promienie, którym udało wkraść się tam mimo jego woli, wypalały fantastyczne wzory na ścianach i podłodze. Powietrze poprzecinane było pomarańczowo-żółtymi smugami wypełnionymi kurzem, który nieustannie się poruszał. W pomieszczeniu królowały przedmioty, wypełniały całe powietrze i od ich natłoku trudno było oddychać, dym z papierosów ojca zlepiał je w jedno, wypełniał ubytki i łączył kolory. Staratem się chodzić po ścieżkach, jakie wyznaczał ojciec. Jeden niewłaściwy ruch mógłby zburzyć współistnienie rzeczy. Wszystko było ze sobą połączzone, ze wszystkich stron sterczały kawałki kolorowych drucików, a z sufitu zwisały ciężkie miedziane kable otulone kokonami z pajęczyn. Po każdym kroku mojego ojca z sufitu odrywał się gęsty pył, który opadał na wszystkie rzeczy, nakrywał je warstwą, która nieustannie się powiększała, bo mój ojciec, kiedy w warsztacie znajdował się ktoś inny, nigdy nie siadał i nieustannie się poruszał, jakby z trwogi przed tym, że ktoś skoncentruje się na jednej rzeczy i zacznie wypytywać go, do czego ona może służyć. Stół umiejscowiony przy jednej ze ścian ugiął się pod ciężarem starych odbiorników telewizyjnych, które ciągle przynosił przyjaciel mojego ojca. W wypukłych kineskopach odbijało się całe pomieszczenie, a ja wyglądałem w tym refleksie na jeszcze mniejszego, niż byłem w rzeczywistości. Po kilku minutach wzrok przyzwyczajał się do półmroku i rzeczy zaczynały się rozdzielać, jednak ich niepodobieństwo do czegokolwiek, co mogłem zobaczyć poza warsztatem ojca, sprawiało, że po chwili znów wpadały w siebie nawzajem, łączyły się i nie można było dociec ich przeznaczenia. Kiedyś ojciec nie domknął drzwi i podmuch wiatru, który wpadł przez szczelinę, najpierw pomieszał warstwy pyłu, które zalegały na przedmiotach, zaburzył strukturę regularną niczym ułożenie słoików w pniu drzewa, a potem zmiotł ze stołu kartkę papieru, która wylądowała zaraz obok mnie. Ojciec tego nie zauważył, a ja przemogłem strach i schowałem ją pod koszulkę. Papier był żółty i zapisany źle zatemperowanym ołówkiem o wyblakłym graficie. Mnóstwo znaków, które jednak obok siebie nic nie znaczyły, linie i wykresy wyczerpujące powierzchnię papieru, odciski linii palców mojego ojca, które nigdy nie były do końca czyste. Czernie i brzozy powrastały w zagłębienia linii papilarnych, wyznaczając na dłoniach mojego ojca lekko wypukłą mapę z naniesionymi na nią liniami izoterm i izobar. Kartki papieru już nigdy nie oddałem ze strachu przed karą, która z pewnością by mnie spotkała, gdyby wydało się, że przywłaszczyłem sobie jakąś rzecz z warsztatu ojca. Ten sam wiatr uchylił też grube płótno kotary, odstaniając tym samym fragment

zakazanego pomieszczenia – czarnego od braku światła, pachnącego pleśnią starych książek [i] wilgotnych zapisanych zeszytów, które powoli trawił grzyb. Powyżej znajdował się strych, po którym mogłem chodzić jedynie w przypadku nieobecności ojca w warsztacie, ponieważ każdy mój krok wywoływał dźwięk, na który ojciec reagował głośnymi i strasznymi słowami brzmiącymi jak zaklęcia zdolne przemienić mnie w jedną z rzeczy w warsztacie. Często jednak przychodziłem tam, kiedy [ojca] nie było w środku i rozpląszczony na deskach zaglądałem w szpary pomiędzy nimi, wypatrując jego tajemnicy. Kiedy otwierał drzwi, strach powoli odrywał mnie od drewnianego stropu i musiałem przytrzymać się palcami szczeliny, żeby nie zacząć lewitować. Ojciec po wejściu sprawdzał, czy nikt go nie obserwuje, i z lutownicą w ręku podchodził do jednego z odborników telewizyjnych, po czym wyciągał z nich jakieś drobne części o różnych kolorach i [wkładał] je do pudełeczek. Potem chował się w niedostępną dla mnie część pomieszczenia, znikał na kilka godzin, a ja mogłem wydostać się ze strychu, zejść po drabinie na ziemię i uciekać, by zatrzymać się dopiero nad rzeką.

Mój ojciec często ginął w swoim warsztacie, zapadał tam w letarg, być może pracował nad czymś, co wpędzało go w taki stan, bo często mama wraz z sąsiadem, który zajmował się naprawą samochodów, wydobywali go prawie całkiem nieprzytomnego, wrażliwego na światło i bezradnego w styczności ze światem z zewnątrz. Zanosili go do samego domu, a ja, nawet wtedy, bałem się zajrzeć do warsztatu mojego ojca, ponieważ wiedziałem, że prędzej czy później wszystko by się wydało – pył pokrywający wszystko w środku był najlepszym strażnikiem. Kiedy ojciec dochodził do siebie w domu po podobnym wydarzeniu, a zdarzało się to w miarę upływu czasu coraz częściej, matka zamykała drzwi wejściowe warsztatu na ciężką kłódkę, a klucz zanosił ojcu pod poduszkę. Do moich zadań należało wtedy, aby szklanka przy nocnej lampce ojca była zawsze napełniona zimną wodą, która najpierw długo musiała się połączyć. Warsztat pozostawał opuszczony, aż ojciec nabrał sił, co zawsze trwało kilka dni. Zawsze oczekiwał około tygodnia, zanim zdecydował się na dalszą pracę w ukryciu warsztatu, znowu zniknął, czasami się pojawiał, a kiedy przestawał przychodzić, nawet na obiady, było to zapowiedzią rychłego powrotu przy pomocy mamy i sąsiada. Cykl, który po pewnym czasie nabrał biologicznej regularności, sprawiał, iż całe nasze życie było mu podporządkowane, bo kiedy zamykał się w swoim warsztacie, mogłem robić praktycznie [wszystko], co chciałem, mogłem poddawać się mojej pasji poszukiwania przejścia, mogłem wyprawiać się do niepoznanych jeszcze miejsc, mogłem po raz setny sprawdzać te już poznane, z nadzieją, że może coś przeoczyłem. Im dłużej trwał [taki cykl], tym mama chodziła bardziej zdenerwowana, tak że po czterech dniach ciągłej nieobecności [ojca], wyczulana się na każdy dźwięk i każde zadrganie powietrza, aż wreszcie jej nerwy nie wytrzymały już napięcia i wiedzioną jakąś niewytłumaczalną siłą, szła po sąsiada i razem wyciągali ledwie żywego ojca z warsztatu.

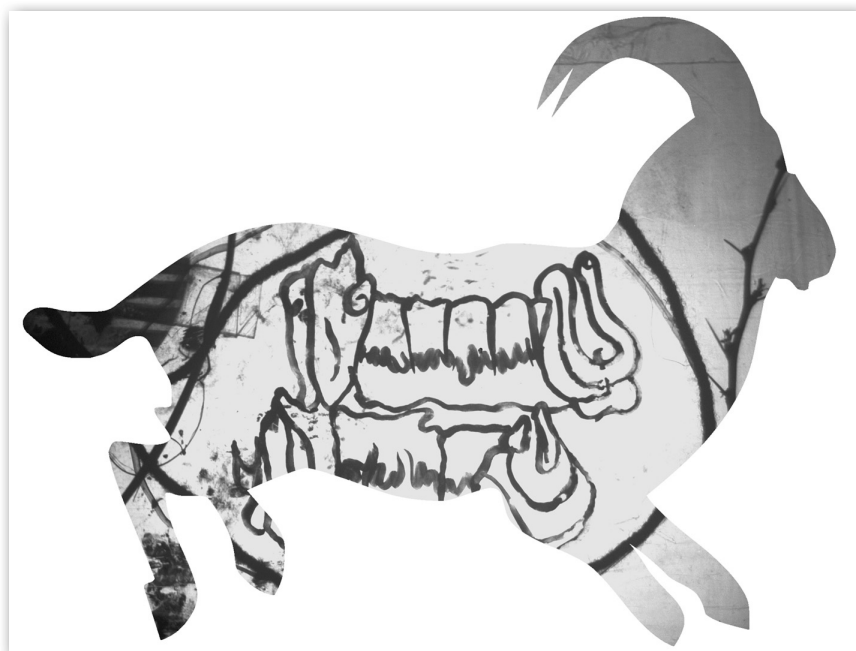
A on z biegiem lat przybliżał się do odkrycia tajemnicy, jego zniknięcia przybierały bardziej dramatyczną formę, nie wiązały się już jedynie z jego brakiem, z nieobecnością i z pewną luką, na którą matka starała się nie zwracać uwagi. Pamiętam,

że kiedy znajdował się już zupełnie blisko odkrycia, nie wytrzymał napięcia, to go po prostu przerosło, zawładnęło jego ciałem, pobudziło energią ukrytą w rzeczach, zaczęło rozrastać je od środka. Wszystko wybuchło, unosiło się i fruwało po przecinających się orbitach, przestrzeń wypełniła się kolizjami, dźwiękami. Była noc i przez rozbite okno wpadały śmieci przyniesione przez wiatr. Pamiętam, że ścisnął w rękę drewniany taboret i zupełnie nic nie rozumiał, podobnie jak ja, tyle że on bał się o wiele bardziej. Pamiętam, jak ręka sama się uniosła, on już nad nią nie panował i ta sama siła, która opętała przedmioty, ta sama siła, która wtoczyła w nasze mieszkanie gęstą i lepka czarną mgłę, wydarła mu z ręki drewniane krzesło, ciskając je w moją stronę. Wiatr wmiótł do kuchni mnóstwo drobnych fragmentów, pyłu i śmieci, które krążyły po mojej miejscowości od momentu, gdy ktoś ją stworzył, a one przestały być już potrzebne i stały się odpadkami, śmieciami, których istotą [było] zajmowanie niepotrzebnych powierzchni. I wszystko potoczyło się ze sobą, jak w warsztacie mojego ojca, zaczęło pęcznić i nadymać się, a kiedy już miało pękać, kiedy wszystkie rzeczy poprętykane śmieciami, które wkrały się przez rozbite okno, miały wybuchnąć w tym samym momencie, czułem się jak pod koniec niezrozumiałej dla nikogo wyliczanki, kiedy powoli staje się jasne, że wypadnie właśnie na mnie. Zaraz przed końcem drewniany stołek przedzierający się przez rozszalałe przedmioty, wycinający w ich gęstości tunel, dotknął mojej głowy i przeniósł mnie na kilka godzin poza to wydarzenie, wprost do mojego łóżka, przygniół mnie bezpieczeństwem ciężkiej kołdry, która nie pozwoliła do końca się obudzić. [Pozostawałem] potem w dziwnym stanie, kiedy przychodzili ludzie będący jedynie konturami falującymi na tle ściany pokoju, jak gdyby podłoga rozgrzewała powietrze i wszystko miało być zupełnie pozbawione czegoś, co może być twarde i co nie przenika czegoś innego.

Ten wiatr był tym samym, który poruszył kotarę zasłaniającą pomieszczenie, w którym mój ojciec prowadził badania. Wiatr był ciepły i gęsty, przylatywał płatami, które odrywały się od chmur i opadały, rozwidlając się przy końcu na kilkanaście języków przyjemnie gładzących ciało. Ale na końcu wgrzyzał się do brzucha, wypełniał go ciepłym i martwym powietrzem, zatykał przeponę śmieciami, które ciągle przenosił i znikał na kilka sekund, pozostawiając tak całkowitą pustkę dookoła, że nie można było o nim myśleć jak o czymś, co wydarzyło się przed chwilą. I potem znowu wdzierał się w ten bezruch wydający się niemożliwym do zniesienia, trwającym od zawsze stanem, rwał go na strzępki i wpychał je na siłę do ust, tłocząc tak silno [silnie], że aby się nie udławić, trzeba było ciągle połykać powietrze. Mój kolega, który nie mógł nauczyć się mówić i który zlizywał brud z naszych gumowców wcześniej skrupulatnie przez nas obsikanych, wymyślił, żeby zatkać się żuciem gumy, która pewnego dnia pojawiła się w naszym sklepie. Dodawaliśmy do niej kawałki grafitów z kolorowych kredek, bo ktoś inny zauważył, że jak ma się czerwoną gumę, to w nocy można spokojnie przejść obok cementarza, a niebieska rozjaśnia [ją] na tyle, że bez problemu rozpoznaje się, czy coś jest naprawdę, czy tylko się zwiduje. Długo szukaliśmy takiej kombinacji kolorów, która pomogłaby przespiać noc naszej koleżance, która mimo że była dziewczyną, to był z niej fajny chłopak. Jak już zasypiała, coś do niej przychodziło i zatykało jej oczy i usta, a potem sprawiało,

że przez sekundę bolało, a potem zaczynała się zapadać i to już nie bolało, mówiła, że na końcu wpadała do wody, bo to coś zaczynało ją myć i wreszcie zaczynała przestawać siebie czuć i od tego zawsze miała pogryzione nadgarstki, bo wtedy się gryzła, bo nic nie czuła. Ona w końcu przestała być. Podobno się po prostu rozpułnęła.

Po tym wydarzeniu matka wyrzuciła klucz do warsztatu mojego ojca, a on sam zniknął na długie letnie dni, pozostawiając w zamian czas wypełniony próbami dostania się do miejsca zza kotary, które kończyło się rękami pełnymi drzazg i strupów. Ojciec zostawił też [mnie] i mamie niewytłumaczalny niczym spokój, w którym mama zabierała mnie na wycieczki rowerem w obszary, które, jak mi się wydawało, dostępne były jedynie dla motoru mojego ojca. Cisza wypełniła pokoje naszego domu. Pamiętam radość, jaka następowała w naszej konfrontacji z tym brakiem wydarzeń, z pustką godzin. Leżeliśmy z mamą na złączonych czerwonych tapczanach, okna zostawały otwarte przez całą noc, a ja specjalnie budziłem się nad ranem, żeby popatrzeć, jak moja mama nauczyła się pięknie spać.



*Poezja wizualna – Beáta Spáčilová, Jannifer Helia de Felice*